

List do młodych poetów



Florian Śmieja (1925-2019)

Mississauga, Kanada

Drodzy młodzi poeci!

Dziękuję za list i zaproszenie do przeglądu antologii załączonych wierszy. Po prawdzie osoba, która mi kwerendę przywiozła

wywiązałaby się z obowiązku równie dobrze, a nawet i lepiej, bo jest odczytana, posiada zmysł krytyczny, a nie pisząc sama poezji ani jej nie wykładając, jest swobodniejsza w opiniowaniu.

Z załączonego wycinka dowiaduję się, że już ktoś przyłożył bardzo dokładnie szkiełko i oko do tekstów i chyba wyłożył na ławę wszystkie mankamenty utworów. Ale pozostawił nadzieję. Pisarz to ten, który pisać nie przestaje, trwa i nie zraża się. Oczywiście zakładamy, że ma talent i nad nim pracuje, no i nigdy nie jest zadowolony ze swego dzieła.

Czy ja, czy ktoś inny potrafi pomóc piszącemu? Może co najwyżej jako model człowieka, który nie daje za wygraną, czyta dużo, myśli i cyzeluje napisane, pracuje nad materią, językiem. Ale ja nie przebywam wśród swoich, dlatego trudniej mi to przychodzi, a to, co napiszę, nie znajduje odbiorcy. Lecz piszę, no widocznie muszę. I nie staram się iść za modą czy wskazaniem krytyka. Będąc sobą, już wygrałem.

Wartość sztuki, a więc także poezji może polegać na tym, że obraz, melodia czy tekst zdolne są wywołać korzystne współdziałanie, stwarzają jakby pole magnetyczne, stanowią punkt odwołania, prowokują odbiorcę do konfrontowania własnych zaszłości egzystencjalnych do wydobywania doświadczeń i skojarzeń, do testowania myśli i odczuć, do rozwibrowania prywatnej tematyki duchowej, jakby powiedział

Andrzej Kijowski. Stąd biorą się niekiedy nadmierne egzegezy krytyków i żonglerka prestidigitatorów zaciemniających często obiekt obserwacji, potrafiący zniechęcić odbiorcę naiwnego. Ale staje się też jasne, że konsument przygotowany, sympatyzujący, korzysta bardziej, może nawet uzyskać więcej niż dał artysta, gdyż dołączył do jego dzieła całe na bodźce czekające bogactwo swojej jaźni.

Czytamy czyjaś poezję, żeby oświecić, a może zapalić skarby własnego czucia i wyobraźni. Jest to wspólna wyprawa na daleką orbitę, w której przeczytany utwór jest sprawcą lotu, gra rolę wyrzutni, a potem jesteśmy sami zdani na zasoby własne, na swoją przemyślność i odwagę obserwowania.

To echo wywołane u odbiorcy jest ową korzyścią, profitem, jakbyśmy dziś powiedzieli, obcowania ze sztuką, z poezją. Szukanie partnera do samopoznania nie jest więc ani pięknoduchostwem, ani przejściowym zainteresowaniem pensjonarki. Często jest szukaniem głosu wołającego, który w naszej pustyni rozpocznie owocny dialog i sprawi, że wyzwolą się uwięzione moce. Jest to niby *lejtmotyw* naszej własnej symfonii, klucz do świata wewnętrznego.

Mieście odwagę wybierać urodę, a nie cukierkowatość, doświadczenie a nie konformizm. Wrzask i bełkot trzeba nazywać po imieniu, w imieniu prawdy, pretensjonalność

pretensjonalnością, bzdury bzdurą, niezrozumiałość, nonsensem. Bądźcie zuchami preferując jasność, zwiezłość, prawdę, prostotę nie prostactwo. Nie negujcie zastanego świata, stwórzcie prawdziwszy, piękniejszy, szczęśliwszy, lepszy.

Powyższe słowa przychodziły mi do głowy w trakcie różnych zajęć, ale potem cały sensowniejszy wywód zgubiłem i musiałem uciec się do improwizacji, a te udają się tylko wyjątkowym twórcom. Polecam rady Rilkego i dalszego próbowania. Sądzę, że fakt opublikowania dużo znaczy: zachęci lub każe się zastanowić, poczekać, nie spieszyć się z propozycjami, póki nie zadowolą ambitniejszych aspiracji autorów.

Proszę przyjąć ode mnie słowa życzliwości już choćby za fakt robienia czegoś ciekawego. Bez pracy nie będzie kołaczy powiada przysłowie. Nie będzie także dobrych wierszy. A tych życzę najbardziej.



Florian Śmieja (1925-2019) z żoną Zofią w ich kanadyjskim domu w Mississaudze.

Czar „białej wróżki”



Akwarela przedstawiająca Marię Kalergis z jej autografem

autorstwa Caroline Delessert,
zamieszczona w zbiorze listów Marii Kalergis, opracowanego i
wydanego przez Marię Lipsius na pocz. XX w.

Jolanta Łada-Zielke

Hamburg

O Marii Kalergis (1822-1874) usłyszałam po raz pierwszy w wieku dziesięciu lat, kiedy omawialiśmy na lekcji języka polskiego okoliczności premierowego wystawienia *Halki* Stanisława Moniuszki w Warszawie, w 1858 roku. Maria Kalergis pomogła kompozytorowi finansowo i logistycznie w tym przedsięwzięciu. Później dowiedziałam się, że wspierała również działania innego przedstawiciela nurtu opery narodowej w dziewiętnastowiecznej Europie, mianowicie Ryszarda Wagnera. Ostatnio uzupełniłam swoją wiedzę o niej, czytając książkę *Maria Kalergis-Mouchanoff, z domu hrabianka Nesselrode. Pamiętniki i korespondencja białej wróżki [1]*, która ukazała się w języku francuskim w styczniu 2020, nakładem wydawnictwa BoD. Autorem opracowania jest Luc-Henri Roger, belgijski pisarz zamieszkały w Bawarii, który napisał kilka książek o tematyce związanej z królem Ludwikiem II i Ryszardem Wagnerem.

Obejmująca sześćset stron samego tekstu książka składa się z dwóch głównych części: biograficznej, w której znajdujemy życiorys Marii Kalergis-Muchanow[2] autorstwa powieściopisarza Constantina Photiadès, oraz epistolarnej

zawierającej zbiór listów bohaterki, opracowanych i wydanych przez niemiecką muzykolożkę Marię Lipsius (pseudonim La Mara). Listy Marii Kalergis, pisane głównie do jej córki hrabiny Marii Coudenhove i do jej męża uzupełniają treść biografii. Roger zamieścił w końcowej części wybór korespondencji Franciszka Liszta. Książkę zamyka wykaz utworów poetyckich i muzycznych poświęconych Marii Kalergis (m. in. streszczenie dramatu *Pierścień wielkiej damy* Norwida), oraz wybór wspomnień sławnych ludzi na jej temat. Luc-Henri Roger korzystał także z polskich źródeł, takich jak biografia Marii Kalergis autorstwa Stanisława Szenica, *Dzieła Cypriana Norwida* (Parnas Polski, 1934) oraz listy bohaterki do Adama Potockiego, w opracowaniu Haliny Kenarowej, wydane w 1986 roku przez PIW.

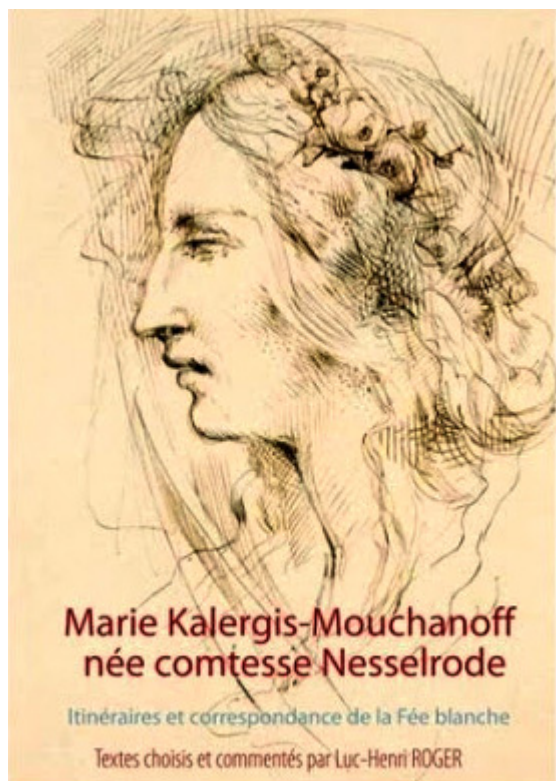
Romantyczna inspiratorka

Maria Kalergis-Muchanow, z domu Nesselrode, urodziła się i zmarła w Warszawie. Jej ojcem był niemiecki hrabia Fryderyk Karol Nesselrode, pełniący służbę dyplomatyczną w rządzie carskim, matką polska szlachcianka Tekla z Górskich. Kiedy Maria miała sześć lat, jej rodzice rozstali się z powodu niezgodności charakterów. Tekla była polską partiotką i żarliwą katoliczką, przekonaną, że wychodząc za mąż za Niemca w służbie rosyjskiej „zdradziła wiarę i ojczyznę”. Przeżywała wewnętrzny konflikt, który doprowadził ją do choroby

psychicznej. Sądząc, że nie poradzi sobie z wychowaniem córki, oddała ją pod opiekę rodziny brata męża, kanclerza Rosji Karola Nesselrode. Od tego momentu Maria wychowywała się w Petersburgu u wujostwa, którzy mieli już dwie córki, w tym jedną o imieniu Maria; dlatego nazwali bratanicę dla odróżnienia „Marie la Polonaise”. Odebrała tam staranne wykształcenie, głównie w zakresie języków obcych i muzyki, do której miała wyjątkowy talent. Już w wieku jedenastu lat świetnie grała na fortepianie, jak donosił listownie Karol Nesselrode jej ojcu, który pozostał w Warszawie. Wczesna rozłąka z matką sprawiła, że Maria zachowała melancholijne usposobnienie i smutny wyraz twarzy, który podobnie jak jej nieskazitelnie biała cera, inspirował poetów, takich jak Teofil Gautier i Henryk Heine, oraz nasz Cyprian Kamil Norwid. W wieku siedemnastu lat wyszła za mąż za Jana Kalergisa, z rodziny greckich emigrantów, który pełnił w Rosji funkcję sekretarza stanu. Był chorobliwie zazdrosny o Marię, więc po niespełna dwóch latach małżonkowie zdecydowali się na separację. Jan zachował się wielkodusznie i zabezpieczył finansowo małżonkę oraz ich córkę. Dopiero po jego śmierci w 1863 roku, Maria zdecydowała się ponownie wyjść za mąż za pułkownika Siergieja Muchanowa, prefekta warszawskiej policji, a następnie dyrektora Teatrów Rządowych w Warszawie, który był jej bardzo oddany.

Przez całe swoje życie Maria Kalergis otaczała się sławnymi ludźmi z wyższych sfer, politykami, dyplomatami i artystami.

Najbardziej lubiła towarzystwo artystów, zwłaszcza muzyków, których była zagorzałą protektorką, zwłaszcza w Paryżu, gdzie prowadziła salon muzyczny w swoim mieszkaniu przy rue Anjou 6. Przyjmowała gości w białej, koronkowej sukni, zawiązanej w talii szerokim, czerwonym paskiem. Złote loki ozdabiała białą opaską. Przypominała wyglądem postać z legend skandynawskich, dlatego nazywano ją „północną dziewczicą”, „białą wróżką”, „kobietą-łabędziem”, „białym sfinksem”, albo „królową śniegu”. Wszystkie te określenia zawarł Teofil Gautier w swoim poemacie poświęconym Marii *Biała symfonia w tonacji durowej***[3]**. Henryk Heine zadedykował jej wiersz zatytułowany *Biały słoń*, inspirowany dalekowschodnią legendą o białym słońcu, mieszkającym na dworze króla Syjamu i nieszczęśliwie zakochanym w istocie jeszcze bielszej niż on, którą ujrzał we śnie. Utwór ten, utrzymany w sentymentalno-ironicznym tonie, traktuje żartobliwie o uczuciu Teofila Gautier do Marii Kalergis. Heine uważał, że równie dobrze mógłby się on zakochać w jednym z himalajskich szczytów; „biała wróżka” była piękna i nieosiągalna.



Okładka książki o Marii Kalergis **Franciszek Liszt i Ryszard Wagner**

W 1835 roku w Baden-Baden Maria Kalergis zachwyciła się wirtuozowską grą Franciszka Liszta, który dał tam koncert fortepianowy. Poznali się osobiście dopiero w 1843 roku i to był początek ich wielkiej przyjaźni. W sierpniu 1845 roku Maria przyjechała do Bonn na uroczystość odsłonięcia pomnika Ludwika van Beethovena, postawionego tam z inicjatywy Liszta. Potem pielęgnowała kompozytora w czasie choroby. W ramach wdzięczności zadedykował jej swoją fortepianową transkrypcję utworu *Salve Regina de Jerusalem* Giuseppe Verdiego. Zaprotegował też Marię jako zdolną pianistkę u Fryderyka Chopina, który udzielił jej kilku lekcji. Sam Liszt twierdził, że *grała jak nikt inny, a ci, którzy ją usłyszeli, nigdy nie zapomną jej*

*gry, lub inaczej mówiąc, jej unikalnej interpretacji. Maria Kalergis także podziwiała jego kompozycje. Jej zdaniem oratorium Liszta *Chrystus* stało się tym samym dla muzyki religijnej, czym *Pierścień Nibelunga* Wagnera dla muzyki operowej. Swoje listy do Liszta podpisywała *całkowicie i szczerze oddana*, albo *całuję Pana ręce*.*

Liszt poznał ją z Ryszardem Wagnerem, przy okazji premiery *Tannhäusera* w Dreźnie, w październiku 1845 roku. Wagnerowi pochlebiło zainteresowanie Marii, które przyjął za dobry omen. Zupełnie słusznie, ponieważ w 1860 roku „biała wróżka” podarowała mu dziesięć tysięcy franków na pokrycie deficytu, jaki spowodowały jego koncerty w Paryżu. Pisał potem do swojej muzy Matyldy Wesendonck, że madame Kalergis wzbudziła jego zainteresowanie, ponieważ zauważył u niej dziwny przesyt, wręcz pogardę dla świata, a jednocześnie silną i głęboką namietność do muzyki i poezji, oraz wielki talent. *Była także pierwszą osobą, która –zupełnie spontanicznie – zaskoczyła mnie naprawdę wspaniałomyślnym zrozumieniem mojej sytuacji...* dodał na końcu. Znalazła się w ścisłym gronie jego przyjaciół, którym prezentował prawykonania swoich oper, w domowym zaciszu przy fortepianie. W ten sposób poznała drugi akt *Tristana i Izoldy* w wykonaniu samego kompozytora i sopranistki Pauliny Viardot. Ale jej ukochaną operą stał się *Lohengrin*, który wyzwalał w niej tak silne emocje, że płakała na przedstawieniach (rozumiem ją doskonale, bo też nie mogę powstrzymać łez).

Niemcy dobrze znali upodobanie madame Kalergis do *Lohengrina* i kiedy przybywała do Monachium, król bawarski Maksymilian II kazał wystawiać tę operę w Teatrze Królewskim. Za pośrednictwem swojego kuzyna, barona von Seebach, Maria uzyskała dla Wagnera od króla Saksonii cofnięcie zakazu powrotu na teren Niemiec, jakim został objęty po udziale w tzw. „rewolucji majowej” w Dreźnie 1849 r. Załatwiła mu też koncerty we Wiedniu oraz w Sankt Petersburgu. Po obejrzeniu w Monachium *Śpiewaków Norymberskich*, stwierdziła, że to dzieło stawia Wagnera w jednym rzędzie z Szekspirem i Ajschylosem.

Wagner odwdzieczył się jej w nieco kontrowersyjny sposób, zadedykował jej mianowicie drugą, wyostrzoną wersję pamfletu *Das Judenthum in der Musik (Żydzi w muzyce)*, wydane w formie broszury w 1869 roku. Poczuli się tym zarówno zaszczycona, jak i zaskoczona. Owszem, nie przepadała za twórczością Meyerbeera ani Mendelssohna, których Wagner krytykował, ale nie była antysemitką. Wręcz przeciwnie, ceniła społeczność żydowską Warszawy za to, że chętnie brała w organizowanych przez nią akcjach charytatywnych. Kiedy wyszedł na jaw romans córki Liszta, Cosimy von Bülow z Ryszardem Wagnerem, który zbulwersował opinię publiczną, Maria Kalergis pozostała w przyjaźni z obojgiem, nie oceniając ich, ani nie potępiając. Chwaliła wielkoduszność Hansa von Bülow, który zgodził się na rozwód i pośredniczyła listownie między Cosimą a jej ojcem, który na trzy lata zerwał kontakt z

córką. Przetrwanie tego trudnego okresu Cosima i Ryszard zawdzięczali uspokajającemu wpływowi i taktownemu postępowaniu ich wspólnej przyjaciółki. Dzięki jej korespondencji czytelnik ma możliwość „zajrzenia” do domu Wagnerów w Tribschen. Wspierała ich także przy przedsięwzięciu budowy teatru w Bayreuth. Wcześniej obejrzała premierowe przedstawienia *Złota Renu* i *Walkirii* w Monachium. Prawdopodobnie to ona jako pierwsza nazwała Bayreuth „nową Mekką” dla muzyków. Dziś określamy to miasto mianem „Mekki wagnerianów”. Niestety, nie dożyła wystawienia tetralogii *Pierścień Nibelunga*, była za to obecna przy położeniu kamienia węgielnego pod Festspielhaus 22 maja 1872 roku i oglądała plany teatru. *Wreszcie nie będziemy mieli czego zazdrościć Ateńczykom i ich nieśmiertelnemu teatrowi*, pisała z satysfakcją do córki.

Zmarła dokładnie dwa lata później, 22 maja 1874 roku na nowotwór narządów rodnych. Jeszcze przed śmiercią podarowała dwa tysiące talarów na rzecz założonego przez Liszta Towarzystwa Muzycznego w Weimarze. Otrzymaawszy wiadomość o jej śmierci, Liszt usiadł natychmiast do fortepianu i zaczął improwizować na temat pierwszej ze swoich *Elegii*, a potem opatrzył jej nuty dedykacją dla Marii. W rok później zorganizował w Weimarze uroczystość muzyczną upamiętniającą tę niezwykłą kobietę. W trakcie obchodów wystawiono na widok publiczny jej portret pędzla Franza von Lenbacha, ozdobiony kwiatami. Jako

oprawę muzyczną wykonano trzy utwory Liszta: *Elegię o śmierci Marii Kalergis*, *Requiem* na czterogłosowy chór męski, *Ave Maria* oraz *Hymn dziecka po przebudzeniu* na trzygłosowy chór żeński do słów poety Lamartine'a. W domu Liszta w Weimarze stało popiersie Marii Kalergis wyrzeźbione przez Cypriana Godebskiego. Nawet po upływie siedmiu lat kompozytor zwierzał się ich wspólnej przyjaciółce, księżnej Paulinie von Metternich, że odejście Marii wywołało w nim pustkę, której nic i nikt nie jest w stanie wypełnić. *Życie straciło swój urok, odkąd jej zabrakło*, stwierdził ze smutkiem.

Między patriotyzmem a lojalizmem

Aktywność polityczna „białej wróżki” wywoływała najczęściej krytycznych opinii. Prowadziła ona w Paryżu działalność dyplomatyczną, tzw. „dyplomację krynolinową”, wraz z dwiema arystokratkami Katarzyną Lieven i Katarzyną Bagration. W jej salonie spotykali się przedstawiciele różnych, nieraz wrogich ugrupowań politycznych. Posądzano ją o bycie tajną carską agentką, z racji pokrewieństwa z kanclerzem Rosji, ale w swoich listach do wuja zamieszczała raczej plotki z życia towarzyskiego. Jej finezyjne spostrzeżenia i przewidywania dotyczące polityki okazywały się słuszne, przewidziała na przykład pomoc militarną Austrii dla przeciwników Rosji w wojnie krymskiej. Działalność Marii i jej przyjaciółek zakończyła się po klęsce Rosji, kiedy kanclerz Nesselrode podał się do dymisji, zaś jego następcą

książę Aleksander Gorczakow nie zamierzał korzystać z pomocy dam. Zarówno Photiadès jak i La Mara oceniają krytycznie działalność polityczną Marii Kalergis. Photiadès twierdzi, że gubiła się w tym jak w labiryncie, a przecież nie była Ariadną.

W rozdziale *Maria Kalergis a Polska* Photiadès opisuje stosunek Marii Kalergis – Muchanow do polskich dążeń niepodległościowych, który też budzi kontrowersje. Wychowana w rodzinie niemieckich dyplomatów, pozostających w służbie carskiej, zachowała lojalistyczną postawę w stosunku do Rosji. Poza tym była kosmopolitką. Maria Lipsius uważa, że „biała wróżka” obrała sobie cel nierealny do osiągnięcia, mianowicie pogodzenie Polaków i Rosjan, co w ówczesnych warunkach było niemożliwe. W głębi serca czuła się Polką, zwłaszcza dzięki muzyce Chopina, którą chętnie i z powodzeniem wykonywała publicznie. Przeżywała podobne rozterki, co jej matka, które skutkowały okresowymi napadami melancholii. Początkowo bliskie jej były romantyczne ideały wolnościowe, ale w wieku dojrzałym reprezentowała poglądy zbliżone do margrabiego Wielopolskiego. Chciała dla Polaków autonomii, własnej administracji, swobód kulturowych i wyznaniowych, ale wątpiła w ich zdolność do samodzielnego rządzenia państwem uważając, że zbyt wiele u nich demagogii. Będąc świadkiem przygotowań do powstań, do których doszło w okresie jej dorosłości – krakowskiego 1846 i styczniowego 1863 odradzała spiskowcom te działania, przewidując, niestety słusznie, klęskę obu zrywów i

represje ze strony zaborców. Nie przyłączyła się do pań z arystokracji warszawskiej wspierających powstańców styczniowych. Mimo swojej zachowawczej postawy, nigdy nikogo nie zadenuncjowała. Wiąże się z tym pewna anegdota. Przebywając w Warszawie, w zimie 1846 roku, Maria dostała na przechowanie dokumenty tajnej polskiej organizacji patriotycznej, które niefrasobliwie włożyła do pudła na kapelusze. Podczas rewizji, zarządzanej zresztą przez jej ojca, nikomu z carskich inspektorów nie przyszło do głowy tam zajrzeć, mimo że pudło przez cały czas stało otwarte na stole.

Nic ująć, lecz raczej dodać

W 1860 roku Maria Kalergis zorganizowała w Warszawie bal charytatywny i dwa koncerty, z których dochód przeznaczony został na założenie tamtejszego Konserwatorium, którego dyrektorem został Stanisław Moniuszko. Jej rolę w przedsięwzięciu związanym z wystawieniem *Halki* przedstawił Roger w końcowej części książki, omawiając treść filmu Rybkowskiego z 1950 roku *Warszawska premiera*. W jednym z listów Maria opisuje okoliczności śmierci Moniuszki i jak potem starała się pomóc jego rodzinie, organizując w Warszawie koncert benefisowy Mikołaja Rubinstein, który przyniósł dochód w wysokości dwóch tysięcy rubli. W marcu 1869 roku donosiła z entuzjazmem o sukcesie opery w Moskwie, wystawionej tam w języku rosyjskim. Po zakończeniu przedstawienia odbyły się na

życzenie publiczności trzy bisy, w tym jeden z mazurem. Ale polscy czytelnicy na pewno zwrócą uwagę na fakt, że w książce Rogera jest sporo informacji o Wagnerze, ale zbyt mało o Moniuszce. Znalazłam jeszcze jedną rzecz wymagającą uzupełnienia. Maria opisuje, że w Poniedziałek Wielkanocny 1869 roku była na wspólnej kolacji z hrabią Chłapowskim i jego żoną, piękną i utalentowaną aktorką z Krakowa, którą jej mąż Siergiej zaangażował na bieżący sezon zimowy. Polski czytelnik zorientuje się od razu, że chodzi tu o Helenę Modrzejewską i zdziwi, że brak na jej temat przypisu. Mimo że pani Muchanow nie wymienia jej z nazwiska, należało dopisać choć parę słów o tej wielkiej polskiej aktorce, która zrobiła później karierę w Stanach Zjednoczonych. Jeśli więc tak sformułowana biografia Marii Kalergis miałyby ukazać się w języku polskim, konieczne byłyby pewne uzupełnienia.

Photiadés stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego brakuje nazwiska Marii Kalergis-Muchanow w kronikach światowych i w ogóle w historii. Upatruje przyczyny w tym, że brakowało jej ojczyzny, której szukała przez całe życie. Jej kuzyn, dyplomata angielski sir Fryderyk Saint-John napisał, że była Niemką z pochodzenia, Polką ze strony matki, Rosjanką przez wychowanie, Greczynką za sprawą małżeństwa; ale słowiański temperament dominował zdecydowanie w jej osobowości.

Książka opracowana przez Luca-Henriego Rogera potwierdza, że

Maria Kalergis-Muchanow stanowczo wyprzedzała epokę, w której żyła. Jej działalność promująca artystów miała charakter ponadnarodowy. Trudno nazwać ją emancypantką, ale była z pewnością kobietą światową, która zrobiła wiele dla krzewienia międzynarodowej kultury. Miała po temu możliwości, które doskonale wykorzystała.



Luc-Henri Roger

[1] Oryginalny tytuł: *Maria Kalergis-Mouchanoff, née comtesse Nesselrode. Itinéraires et correspondance de la Fée blanche.*

[2] W tekście artykułu stosuję polską pisownię drugiego nazwiska bohaterki, podczas gdy w książce pojawiają się jego różne warianty, najczęściej „Mouchanoff”.

[3] Oryginalny tytuł: *La Symphonie en Blanc Majeur*.

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu



Remi Juśkiewicz

Rozmawia - Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

(Wielka Brytania)

Pewnego dnia obudziliśmy się w innej rzeczywistości, która... nas zaskoczyła. Przerażeni zastanawialiśmy się, czego tak naprawdę jesteśmy świadkami. Dziś już wiemy, że może ten strach był na wyrost, ale wtedy... Wtedy potrzebowaliśmy, aby ktoś na chwilę zajął nasze myśli... Któż robi to lepiej, jeśli nie artyści... bez których, jak napisałam kiedyś w jednym z moich wierszy, świat byłby „jak niebo bez gwiazd”.

Jedną z takich gwiazd, która rozświeciła serca Polaków w UK (i nie tylko) jest Remi Juśkiewicz z Londynu, zabierający nas

wirtualnie, od niemal samego początku *lockdownu*, w niezwykłą muzyczną podróż po swoim świecie – 10 października miała miejsce emisja 48. odcinka.

Remiego poznałam około półtora roku temu podczas wydarzenia kulturalnego w Polskim Klubie w Slough. To niezwykle utalentowany i uduchowiony artysta, a przy tym człowiek szalenie skromny. Muzyka w jego życiu jest od lat, jednak on sam pozostawał w cieniu innych. Jakiś czas temu sytuacja uległa zmianie. Przekroczywszy próg pięćdziesięciu lat, postanowił, przy wsparciu swojej rodziny i przyjaciół, rozwinąć skrzydła (jak widać, nigdy nie jest za późno!).

Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz:

Studia magisterskie na *Kingston University (production of popular music)*, a wcześniej ukończenie z wyróżnieniem kierunku *songwriting* na *British and Irish Modern Music Institute*. Podobno nie zamierzasz na tym poprzestać?

Remi Juśkiewicz:

W tym roku kończę roczne studia magisterskie na *Kingston University* – kierunek *Production of popular music*, natomiast wcześniej rzeczywiście obroniłem dyplom w specjalności *songwriting* na *British and Irish Modern Music Institute*,

działającym pod skrzydłami West London University.

Czy nie zamierzam poprzestać? Zobaczymy, jak będzie ze znalezieniem pracy po skończeniu studiów, więc tak na wszelki wypadek jestem po rozmowach o doktoracie w Kingston.
(śmiech)

Jak w ogóle zaczęła się Twoja przygoda z Wielką Brytanią? Od kiedy jesteś na emigracji?

Przyjechałem w 2003 roku. Chciałem trochę zarobić, a po kilku tygodniach wrócić do Polski, ale los potoczył się inaczej i jestem tu do dziś.

Teraz głównie zajmujesz się studiami, tworzeniem, graniem, śpiewaniem, a co było wcześniej?

Imałem się różnych zajęć – sprzedawałem kanapki oraz napoje w zakładach pracy, pracowałem w magazynie firmy rozprowadzającej upominki i gadżety. Obecnie jestem listonoszem w Royal Mail, ale tylko jeden dzień w tygodniu, gdyż większość czasu pochłaniają mi studia i projekty artystyczne.

A jak wyglądało Twoje życie w Polsce?

Pochodzę z Inowrocławia, wsi Cieślin, leżącej cztery kilometry od

tego miasta. Mama z tatą zajmowali się rolnictwem i drobnym handlem, ale oboje bardzo lubili muzykę. Była ona bliska i mnie od dziecka, dlatego rodzice postanowili, żebym uczęszczał do przedszkola muzycznego w Inowrocławiu, a potem do szkoły muzycznej I stopnia w klasie akordeonu.

Na wsi pracy nie brakowało, a nauka w dwóch szkołach – ogólnej i muzycznej – pochłaniała mnóstwo czasu. Byłem raczej kiepskim uczniem. (śmiech) Choć bardziej pasjonowała mnie piłka nożna, to po podstawówce kontynuowałem naukę w szkole muzycznej II stopnia, tym razem w klasie puzonu. Nie ukończyłem jej jednak, gdyż całkowicie pochłonęła mnie gra na klawiszach i zapragnąłem występować w jakimś zespole. Z czasem założyłem kilka grup (bądź dołączyłem do nich), jednocześnie pracując jako instruktor muzyczny w Klubie Kolejarz w Inowrocławiu.

Po odejściu z Kolejarza, gdzie pracowałem przez 10 lat, założyłem prywatną szkołę muzyczną, potem prowadziłem kawiarnię „Europa”, która pod moimi rządami zyskała miano „artystycznej”. Następnie zostałem właścicielem pubu „Remiza”, działającego w Inowrocławiu, a później w Bydgoszczy. We wszystkich tych miejscach królowała muzyka grana na żywo i to z moim udziałem.

Gdyby nie czas pandemii, byłbyś obecnie w swojej trasie

koncertowej, promującej płytę pt. „Nie mów o miłości” do tekstów Grażyny Wojcieszko. Los jednak zdecydował inaczej... Koncerty na żywo zastąpiły internetowe audycje muzyczne *Piosenki na koniec tygodnia*?

Dokładnie 27 marca 2020 roku miałem być w Brukseli z moim kolegą Johnem Bicknel'em w celu rozpoczęcia promocji płyty G. Wojcieszko „Nie mów o miłości”, na której znalazły się moje kompozycje i wykonania. Niestety z wiadomych względów nie było to możliwe – koronawirus. Wtedy też podpatrzyłem, co robi na FB moja koleżanka Dorotka Górczyńska-Bacik. Zainspirowała mnie i zachęciła do prowadzenia audycji muzycznych. Pierwsza z nich miała miejsce właśnie owego 27 marca, czyli zgodnie z datą rozpoczęcia trasy koncertowej, i nosiła tytuł „Piosenki na dobranoc”. Obecnie nazwa jest zmieniona i są to „Piosenki na koniec tygodnia”.

Z tygodnia na tydzień grono odbiorców systematycznie rośnie.

Na początku cieszyłem się, że w ogóle ktoś mnie ogląda. Kiedy okazało się, że jest jakieś sto osób, byłem szczęśliwy. Gdy liczba ta urosła do około trzystu, napisałem podziękowanie. Po pewnym czasie przekroczyłem próg tysiąca wyświetleń – mój rekord. Wtedy naprawdę zabrakło mi słów ze wzruszenia i nie wiedziałem, co powiedzieć.

W audycjach na żywo uczestniczy zazwyczaj około 200 osób, natomiast retransmisje to średnio 800 wyświetleń.

Remi Juśkiewicz podczas nagrywania swojej cotygodniowej audycji





Kiedy odbywają się Twoje transmisje na żywo i jak można Cię „namierzyć”?

Zapraszam w każdą sobotę i niedzielę o godzinie 20.30 w Wielkiej Brytanii (21.30 w Polsce).

Można mnie znaleźć, wpisując w wyszukiwarce FB hasło „piosenki na koniec tygodnia” albo też poprzez użycie hashtagów: #piosenkiremifalko, #piosenkiremijuskiewicz,

#piosenkifałkowski.

W tym miejscu zwracam się z prośbą o udostępnianie moich audycji. Nigdy tego nie robiłem, ale zacząłem doceniać moc FB. Chciałbym dać szansę poznać mnie i moją twórczość osobom, które „czują jak ja”.

W repertuarze audycji znajdują się utwory, do których napisałeś muzykę i których jesteś wykonawcą. A co z tekstami?

Własne utwory śpiewam rzadko. Cała przygoda zaczęła się od spotkania na mojej drodze artystycznej Wiesława Fałkowskiego. Zaowocowało to duetem Remi&Falko – wiersze Wiesia, muzyka i wykonanie moje. Nie jest to projekt sceniczny, jednak zdarza nam się występować razem podczas wieczorków poetyckich. Obecnie, oprócz Wiesława Fałkowskiego, wykonuję utwory z tekstami: Doroty Górczyńskiej-Bacik z Berkhamsted, Aleksego Wróbla z Londynu, Marii Duszki z Sieradza, Grażyny Wojcieszko z Krzywogóńca (Bory Tucholskie), Adama Gwary z Izabelina (koło Warszawy), Bianki Kunickiej Chudzikowskiej z Wrocławia, Birutė Jonuškaitė z Wilna na Litwie, Ireny Ewy Idzikowskiej z Cheviot Hills w Szkocji i Staszka Głowacza z Krakowa.

Każda z tych osób pisze w inny sposób, jednak dla mnie najważniejsze jest to, czy w ich wierszach odnajduję przestrzeń

do napisania piosenki. Oczywiście czasem trzeba dokonać zmian w tych tekstach. Jednak wszystko przy pełnym porozumieniu i akceptacji!

***Piosenki na koniec tygodnia* nieco ewoluowały. Widzowie mogą je w pewnym sensie współtworzyć.**

Początkowo moje audycje odbywały się każdego dnia. Grałem po trzy nowe utwory każdego wieczoru. W pewnym momencie stwierdziłem, że przecież nie mam ich aż tyle, zatem po jakichś trzech tygodniach od startu, forma musiała ulec zmianie.

Obecnie w każdą niedzielę odbywa się Koncert Życzeń. Zaczęło się od tego, że niektóre osoby prosiły mnie o wykonanie konkretnej piosenki. Oczywiście robiłem to chętnie, ale w pewnym momencie uznałem, iż można dokonać pewnego urozmaicenia. Chciałem też poznać moich widzów i przedstawić ich sobie nawzajem. Stąd też osoba, która zamawia utwór, proszona jest o przygotowanie krótkiej informacji na swój temat. Najczęściej są to treści żartobliwe, z przymrużeniem oka.

Jeśli ktoś chciałbym zamówić piosenkę, wystarczy napisać do mnie na FB lub na maila: remigiusz@hotmail.co.uk. Jedyne warunki są takie, że muszą to być piosenki, które już prezentowałem w moich audycjach.

Kolejną atrakcją są konkursy, choć nie odbywają się one cyklicznie. W ich organizacji wspiera mnie Wiesiu Fałkowski. Ostatnio widzowie musieli zgadnąć, na jakim instrumencie zagrałem w piosence pt. „Królowa” do słów G. Wojcieszko. Konkurs wygrał W. Majkowski, poprawnie odgadując, że było to *kazoo*.

W przyszłości planuję zapraszać do udziału w audycjach muzyków z całej Europy (Polaków i nie tylko!), a może i ze świata. Podczas Voice of Polonia w Brukseli poznałem wielu ciekawych artystów, którzy będą wykonywać moje utwory w swoich własnych interpretacjach. Myślę, że może to być interesujące dla moich widzów, ale ja też jestem bardzo tego ciekaw.



Violetta Juśkiewicz, żona artysty

W Twoich audycjach zaczęli też pojawiać się goście, czyli m. in. D. Górczyńska-Bacik, G. Wojcieszko, P. Cajdler, J. Pomes, D. Kern.

Jest to kolejna z form uatrakcyjnienia moich recitali on-line. Pomyślałem, że może warto przedstawić szerszej publiczności mniej znanych artystów, takich artystów – hobbystów. Pierwszym moim gościem był Jacek Pomes z Niemiec, który maluje obrazy. Były one wyeksponowane w trakcie audycji. Takich osób jest więcej i nie są to tylko Polacy. Ostatnio w audycji uczestniczył David Kern z Oldenburga w Niemczech. Warto w tym miejscu dodać, że dla mojej anglojęzycznej publiczności wykonuję w soboty jeden utwór w j. angielskim. Oprócz osób, które już wspomnieliśmy, moim gościem była też Ewa Taylor

Oglądam Twoje audycje i wiem, że dostajesz mnóstwo wyrazów sympatii i uznania, ale także przejawów wdzięczności. Bez wątpienia jesteś jedną z osób, która pozwoliła w tym trudnym czasie pandemii i lockdownu odgonić choć na chwilę czarne myśli. Jak Ty się do tego odnosisz; do tej swego rodzaju misji wpisanej w życie artysty?

Nie traktuję tego jako misji, ale cieszę się, że mogę dawać ludziom radość i odrobinę wytchnienia – szczególnie w tak

trudnym okresie, jaki miał miejsce z powodu pandemii.

To, co się zadziało na FB w trakcie moich audycji, jest ciekawym zjawiskiem socjologicznym. Wirtualnie spotykali się u mnie członkowie rodzin, przyjaciele. Zapoznało się ze sobą sporo nieznajomych osób, które łączy fakt, że „nadają na tych samych falach”. To jest dla mnie niesamowite.

Mam nadzieję, że kiedy ten zły czas wreszcie się skończy, uda nam się wszystkim spotkać w realnym świecie. Może na jakimś recitalu... Już dziś serdecznie wszystkich zapraszam.

A teraz, na zakończenie naszej rozmowy, kilka pytań niemalże technicznych. (śmiej) Z pewnością czytelnicy chcieliby się dowiedzieć, na jakim sprzęcie tworzysz muzykę?

Komponuję i nagrywam głównie w domu – mam swoje studio. Pracuję w programie Cubase i używam programowych symulacji różnych instrumentów. Jedynymi prawdziwymi instrumentami są gitary, instrumenty perkusyjne – tzw. przeszkadzajki, melodyka i mój głos.

Czy ktoś Ci pomaga?

Muzycznie: kompozycja, aranżacja, gra na instrumentach i

śpiewa – to „ogarniam” sam (śmiech), ale jeśli chodzi o miksowanie utworów, współpracuje z moim starym kumplem ze Słowacji – Jurajem Fajnore, który jest bardzo dobry w „decybelach i hercach” i ogólnie cholernie pracowity. Nasza współpraca kwitnie.

Tekstowo: piszę mało, nie czuję się tekściarzem, ale mam wielu przyjaciół – poetów, o których wcześniej rozmawialiśmy, i demoluje im ich wiersze ku obopólnemu zadowoleniu.

Mentalnie: jest ktoś, kto mi bardzo pomaga i mnie wspiera każdego dnia. Tą osobą jest moja żona Violetta, która w miarę możliwości jest na każdym moim koncercie. Pilnuje wszystkiego podczas audycji „Piosenki na koniec tygodnia”. Filmuje i montuje produkcje wideo. Nie gra i nie śpiewa (jedynie pod prysznicem), ale poza tym jest mi bardzo pomocna. Viola jest też zawsze pierwszym krytykiem moich piosenek lub produkcji muzycznych.

Jakieś inspiracje muzyczne?

Jako kompozytorów piosenek zawsze najbardziej ceniłem i cenię Beatlesów. Uwielbiam też muzykę amerykańską, ale tylko tę dobrą.

Twoje aspiracje artystyczne?

Moja facebookowa audycja na żywo „Piosenki na koniec tygodnia” pokazała, że ludzie lubią moje poetyckie country-music. Odwiedza ją od 500 do 1000 osób tygodniowo. Życzę sobie takiej widowni, kiedy pandemia się skończy, ale już o tym wcześniej wspominałem. Zatem może powiem tylko, że chciałbym po prostu żyć z muzyki.



Remi Juśkiewicz „Piosenki na koniec tygodnia”

Jeśli mają Państwo ochotę zapoznać się z muzyką tworzoną przez Remiego Juśkiewicza, można zakupić Jego najnowszą płytę *MOŻE POJUTRZE* za pośrednictwem udziału w „zrzutce”: <https://zrzutka.pl/znvja3/widget/24>

Od Redakcji:

Remi Juśkiewicz gościł już na „Culture Avenue”, wciąż można tu posłuchać jego pięknych, jesiennych piosenek do słów Marii Duszki.....

Jesień

Źrenice studni badają
ruchy gwiazd



Fot. Ryszard Sawicki
Zbigniew Lubicz-Miszewski

Recenzja tomiku wierszy Ryszarda Sawickiego „Drzewa nie szukają utraconych liści”, ang. „Trees do not search for lost leaves”, translated by Frank Kujawiński, Namysłów 2020, s.107, 10 il, (fotografie autora z Parku Szczytnickiego we Wrocławiu).

Po co tu przyszedłem

i wstrzymałem kroki?

Szukałem wyjaśnienia

przyczyn biegu drogi

i znaczenia bram.

W programowym wierszu „Drzewa nie szukają utraconych liści” Ryszard Sawicki stawia pytanie jaki jest stosunek człowieka do czasu, do przemijania. Człowiek ciągle jest zanurzony albo w przeszłości, albo antycypuje w przyszłość, a nie potrafi żyć tu i teraz, jak drzewa:

Drzewa przechodzą przemiany pór roku tak,

jakby nie czekały na żadną z nich.

Nawet pewność odzyskania

wszystkich odcieni życia

nie jest im potrzebna.

Oczekiwanie i poszukiwania są im równie obce.

A jednak odnajdują się w zieleni co roku.

Wiele możemy nauczyć się od drzew: pokory, trwania w ciszy, pokoju nie zmaconego galopadą rozbieganych na wszystkie strony myśli, niezachwianej wiary w coroczne wiosenne odrodzenie, kwitnienie i owocowanie, a przede wszystkim poczucia smaku – drzewa ubierają się zawsze stosownie do pory roku. Przytaczając cytaty z Ewangelii św. Łukasza można również pochwałę lilii poszerzyć: *Przypatrzcie się drzewom, jak rosną: nie pracują i nie przędą. Nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedno z nich.*

Drzewo jest obrazem kosmosu, symbolem życia, symbolem ciągle odradzającej się przyrody, alegorią człowieka, jego przemijania, wartości i marności, a także jest symbolem ostatecznego losu. Corocznie drzewo obumiera na jesieni, a jednak na wiosnę powraca do życia. Dlatego objawia jakąś pozaludzką rzeczywistość.

Zapis poetycki wierszy u Ryszarda Sawickiego jest nietypowy – wyśrodkowanie kolumny powoduje, że odczytujemy wiersz harmonijnie wyważony, w którym symetria dyktuje rozkład sił, wiersz wygląda jak dzieło sztuki, jak rzeźba którą oglądamy z różnych stron. I często w podstawie kompozycji ukryta jest puenta, konkluzja, która odczytujemy z powrotem wędrując od korzeni do korony poetyckiego drzewa. Słowa bardzo oszczędne, czyste i wypolerowane jak diament, frazy odseparowane momentem ciszy, jak w utworze muzycznym budują napięcie

zmierzając do finałowego crescendo.



Ryszard Sawicki
Artysta, pisarz, tłumacz.

- Wykształcenie: Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. Od 1977 do 1994 mieszkał i pracował w USA.
- Podróże: Austria, Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Holandia, Hiszpania, Włochy, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria, Rumunia, Uzbekistan, Kirgizja, Ukraina, Litwa, Tunezja, Turcja, Iran, Afganistan, Pakistan, Indie, Japonia (w niektórych krajach kilkakrotnie).
- Publikacje: eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Format*, *Zesłaniec* (Wrocław), *Sroda Literacka* (Londyn), *Pamiętnik Literacki* (Londyn), *Pomosty* (Wrocław), *Culture Avenue* (US internet portal) i innych. Jest autorem dwóch bibliofilskich tomików poezji z ilustracjami wrocławskich artystów oraz książki pt. "Czapla".
- Zajmuje się również malarstwem sztalugowym i grafiką.

ISBN: 978-83-65987-13-3

Ryszard Tadeusz Sawicki

Drzewa nie szukają utraconych liści



Ryszard Tadeusz Sawicki

Drzewa nie szukają utraconych liści

W swoich wierszach Ryszard Sawicki wierny jest przesłaniu Zbigniewa Herberta:

*czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę
powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy*

bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz

powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem

jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku

a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką

chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku

idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek

do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda

obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów

Droga tych nielicznych, Herosów zaliczonych do grona „zimnych czaszek” wytyczona jest od narodzenia: Z gliny wypalonej, błękitnym płomieniem, z chmury rozdarłej kamiennym ostrzem, z tchnienia pełnego pustynnego żaru.

Czym jest błysk życia, upływ czasu, klepsydra pór roku? – Żaru ptakiem, promiennymi skrzydłami, smugą iskier, błyskiem oczu, płomieniem świecy, wodą ognistą, obłokiem gorejącym, czarną gwiazdą rozświetloną w sobie...

*Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy – Dlatego
Sawicki opowiada legendę:*

Legenda trwa.

wynurza się z oddali

i przypływa do ręki

–

zakotwiczona wzrokiem,

zaklęta ustami.

(Przywiązanie nie jest tragedią kwiatów lotosu)

U Sawickiego proces twórczy przebiega odwrotnie niż u większości twórców – nie od „ja” – jako centrum świadomości – do świata zewnętrznego, tylko ze świata (światła) zewnętrznego obrazy i zdarzenia na zasadzie implozji „eksplodują” do „ja” tworząc byt w rodzaju „czarnej dziury” – obszaru czasoprzestrzeni, którego z uwagi na wpływ grawitacji, nic (łącznie ze światłem) nie może opuścić. Zgodnie z ogólną teorią względności, do jej powstania niezbędne jest nagromadzenie

dostatecznie dużej masy w odpowiednio małej objętości. Dlatego materia wierszy jest maksymalnie skondensowana. To skupienie w sobie odgłosów świata, czyli ciszy która potrzebna jest do narodzin słowa (jak obumarłe ziarno), ilustruje ostatni wers wiersza *Pustelnikiem w muszli dzwonu dźwięk skruszony: Dzwon nabiera w ciszy brzmienia.*



Fot. Ryszard Sawicki

Czarną dziurę otacza matematycznie zdefiniowana powierzchnia nazywana horyzontem zdarzeń, która wyznacza granicę bez powrotu. Nazywa się ją „czarną”, ponieważ pochłania całkowicie

światło trafiające w horyzont, nie odbijając niczego. Czarne dziury o masie gwiazdowej formują się w wyniku zapadania grawitacyjnego bardzo masywnych gwiazd pod koniec ich życia. I drzewo jako ikonę bytu zapisuje Sawicki w horyzoncie zdarzeń (*Znam drzewo*).

Poeta zapisuje odchodzący w niebyt świat w „kościach pamięci”: *Nawet ślepy dojrzy wschodzące nad falami gorejące znaki i wykrzyknie imiona zapomnianych rzeczy. I znów powstaną wyrąbane lasy i uniosą pochodnie nad mroczne sklepienia dni wskrzeszonych z pyłu.*

Co można i trzeba ocalić jeżeli człowiek tak barbarzyńsko eksploatuje ziemię? *Próżno szukać w lasach choć kropli zieleni. Pustynie pochłonęły nawet wielkie rzeki. Staliśmy się wysuszoną trawą, łupem ognia, smugą dymu.*

Jeśli chcemy rozbić mur otaczający nas od świata, musimy z dziecięcą ufnością dosiąść drewnianego konia i uwolnić się *od toczenia kół, od dźwigania ciężaru skamieniałych myśli i ciał, od nawyku chronienia kruchych, szklanych oczu.* Wiersz *Przez szybę do oczu ze szkła; Przez mur do skamieniałych dłoni* wpisuje się w tęsknotę człowieka do lotu, galopu nieskrępowanego żadnymi hamulcami, jaki najpełniej ukazał w swoim wierszu „Otwarte niebo” Jules Superville:

OTWARTE NIEBO

(przekład Zbigniew Bieńkowski)

Miałem niegdyś konia

Na niebieskich błoniach,

Pędziłem naprzeciw

Dnia promienistego.

Droga była równa,

Pędziłem bezwiednie,

To był parostatek,

Bo nie koń był koniem,

To było pragnienie,

Bo nie parostatek,

To był koń z tych koni,

Jakich nie ma dzisiaj.

Głowa była koniem,

Sierść czystym szaleństwem,

To był wiatr, co siebie

Rozprzestrzenia rzeniem.

Pędziłem przed siebie

I dawałem znaki:

I wy także za mną

Pędźcie! Przybywajcie,

Przyjaciele moi.

Droga jest łagodna,

Niebo jest otwarte.

Ale kto to mówi?

Na tej wysokości

Tracę z oczu siebie.

A wy czy mnie widzicie?

Czy ja jestem który

Mówiłem przed chwilą,

Czy ja jestem jeszcze

Który mówię teraz,

A wy, przyjaciele,

Czy jesteście wami?

Jedni za drugimi

Zmieniali się w biegu.

U Sawickiego:

Strzemion dosięgniesz łatwo

–

*nie trzeba nikomu skrzydeł,
aby znaleźć się w siodle.*

Patrz

–

*bramy zostały za nami,
już drzewa mijamy w pędzie.*

*Po kałużach rozlanych szeroko,
po rozmięklej ziemi,
po trawie oszronionej*

–

bez dróg, bez bruku

W wierszu *Pozory* zanikają od wieków zakłamywane słowa

odzyskują swoje znaczenie i barwę *Mówią znów o królu
naprawdę odzianym.*

Ten piękny wiersz bardzo krótki (widzę ten tekst wykuty na
płytcie marmurowej) może być manifestem poetyckim
Sawickiego:

Odrywam drogi od stóp,

przebiegam rzeki

ciężkie od obłoków.

Kamienie rzucam wiatrowi,

by je roztarł na pył.

Spotykam jednak kwiaty,

których zapachu nie rozwiewam,

drzewa, którym nie poruszam liści.

Są jeziora o gładkich powierzchniach

i ognie o nieruchomym płomieniu.

Przystaję i patrzę:

żrenice studni

badają ruchy gwiazd.

I jeszcze:

Pozwoliłem żaglom odlecieć,

ster wypuściłem z dłoni.

niepotrzebne mi deski okrętu,

niech murszeją, niech toną,

stóp już nie oprę o nie.

Budowniczym rzuciłem monetę,

przewodnikom spłaciłem długi;

odtąd idę krokiem wolnym, wytrwale,

zanurzam się w mrokach otchłani.

Jeśli kiedyś napotkam ląd,

którym światło biegnie

przystanę.

I przejdę.

Będę wiedział jak płynąć nad skałą.

O konieczności i wadze sformułowania i wypowiedzenia prawdy zapisu poetyckiego, wysłowienia własnej bolesnej życiowej prawdy i wierności zasadom etycznym, tak pisze Sawicki:

Dopóki językiem

nie przetnę granicy

zaciśniętych słów,

które dławią mimo,

że zbutwiały słupy

*nie spalonych zaklęć,
dopóty skruszone szkło
kaleczyć będzie wargi
otwarte pragnieniem.*



Fot. Ryszard Sawicki

Przypomina się tu zasada etyczna Immanuela Kanta – „imperatyw kategoryczny”, mówiąca że *należy postępować zawsze wedle takich reguł, co do których chcielibyśmy, aby były one stosowane przez każdego i zawsze*. Tak skomentował tą

zasadę Oskar Negt: *Postępuj zawsze tak, jakby od twojego działania lub jego zaniechania miała zależeć odmiana losów świata. Kto działa na szkodę wspólnoty, szkodzi w ostatecznym rachunku samemu sobie.*

W wierszu *Nie, nie* wszystkie konie wróciły do stajni Sawicki oddaje hołd wszystkim polskim zrywom niepodległościowym:

*uprząże i szable zostały ukryte,
doszeptano rozkazy urwane w pół słowa
w dłonie złożone, przyciśnięte do twarzy.
Ciszej, ciszej
niech nikt nie wie
gdzie rdzewieją klingi,
aż przyjdzie czas oczyszczenia...*

Bardzo ostre słowa kieruje do człowieka który tak kocha zwierzęta, zwłaszcza na talerzu...

Na próżno szukasz raju

wokół siebie.

Dzikie zwierzęta nauczyły się żyć

bez opieki aniołów

i wiedzą, że oswojenie

może prowadzić do rzeźni.

Jakie przesłanie Ryszarda Sawickiego dla nas można odczytać w tym tomiku? Żebyśmy zatrzymali się w tym pędzie życia, nie żyli wpatrzeni ciągle w tarczę zegara, żyli tu i teraz, pełnią czasu, zielenią i śniegiem i słońcem, chwilą bez daty:

Przystanęły dni.

Zdjęły godziny

z ramion zegarów

i złożyły na ziemi

–

nawet minuty

ciężyły już bardzo.

piramidy wieków

budowane latami

zawsze spoczywają.

chcemy odchodzić w sen

jak noce;

chcemy żyć,

jak pory roku

–

zielenią i śniegiem,

chwilą bez daty;

tylko słońcem

–

nie zegarami.

Czasem bez miary.

Sawicki przypomina nam, że możemy chłonąć we śnie i na jawie świat wszystkimi zmysłami, oddychać pełną piersią, wtulić się Królestwo Przyrody, w którym las nie składa się z drzew anonimowych, bo każde drzewo, każda roślina ma swoje imię i „duszę”, ale musimy najpierw odbudować naszą relację ze światem. Obecnie przechodzimy obojętnie obok świata, rośliny, zwierzęcia, zapominamy ich nazw... Rzeczywistość dla nas straciła sacrum. *Czcząc sakralność osób i rzeczy, czcimy w nich samych siebie. Powiedz mi, kogo i co czcisz, a powiem ci, kim jesteś. Gdy powiesz, że nie czcisz nic, powiem, że jesteś niczym! Bez sakralności człowieka, jako wektora, do którego zdąża świadomość, nie można wytłumaczyć, pojąć zrozumieć świadomości człowieka* – pisał filozof kultury Henryk Skolimowski.

Dużym walorem tomiku jest wierne przetłumaczenie przez Franka Kujawińskiego wierszy na język angielski, otwiera to

możliwość lektury ludziom na całym świecie. Fotografie drzew autorstwa Ryszarda Sawickiego idealnie korespondują z tematyką wierszy.



Ryszard Sawicki

Ryszard Sawicki

Urodzony w Kamiennej Górze, Wrocławianin. W latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz, dziennikarz.

Publikacje: eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn), *Pamiętnik Literacki* (Londyn), *Pomosty* (Wrocław),

'Zesłaniec' (Wrocław) i in. Wydał dwa bibliofilskie tomiki poezji z ilustracjami kilku polskich artystów-grafików, polsko-angielski tom wierszy pt. 'Drzewa nie szukają utraconych liści' (tłum. F. Kujawiński), książkę pt. 'Czapla' (2017). Jako dziennikarz, współpracował z polonijnymi czasopismami w Ameryce. Współpracował z redakcją rozgłośni radiowej w Kalifornii (audycje literackie).

Techniki: malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliografowa. Wystawy: indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. Prace w zbiorach: Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). Nagrody: złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). Członkostwo: Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994).

Wymieniony m.in. w: Polish American Who's Who, Directory of American Portrait Artists, Almanach Sztuki Dolnego Śląska. Artykuły w lokalnej prasie polskiej i zagranicznej anonsowały jego wystawy i odczyty literackie.

Promocja w czasach pandemii



Katarzyna Szrodt na wystawie prac Magdaleny Abakanowicz w
Fundacji Rodziny Staraków
Katarzyna Szrodt

(Montreal)

Pod koniec kwietnia 2020 roku, w warszawskim wydawnictwie DiG, wydana została moja książka „Polscy Artyści Plastycy w Kanadzie”, będąca adaptacją doktoratu. W maju miała odbyć się promocja w Muzeum Historycznym na Zamku Królewskim w Sanoku, zaplanowany był wykład na wydziale kanadystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i prezentacja na sesji Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. W terminie późniejszym miały odbyć się promocje w konsulatach w Montrealu i Toronto oraz w ambasadzie w Ottawie. W planach były również targi książki i spotkanie na uniwersytecie UMK w Toruniu. Misternie zaplanowana trasa promocyjna legła w gruzach – świat sparaliżował koronawirus. Przestraszeni, dezorientowani, spacyfikowani w domach, śledziliśmy w mediach rozwijanie się pandemii, poddaliśmy się nowym regułom mającym na celu opanowanie wirusa. Wszyscy musieliśmy zmienić plany i zastygliśmy w oczekiwaniu na powrót do normalności.

Na szczęście istnieje możliwość wspomnienia o publikacji na łamach „Culture Avenue”, magazynu internetowego, który od lat śledzi i docenia twórczość artystów na emigracji.

Blisko pięć lat badań, poszukiwań, podróży złożyło się na tę pozycję pokazującą dorobek polskich artystów plastyków, którzy w latach 1939-1989 wyemigrowali do Kanady. Pięćdziesiąt lat emigracji z Polski talentów: malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy, architektów, fotografików, twórców sztuki użytkowej,

zmuszonych do wyjazdu z kraju ze względów politycznych lub ekonomicznych. Trzy fale wychodźstwa: fala wojenna, fala PRL-owska, fala solidarnościowa, złożyły się na ponad 260-osobową grupę artystów o dorobku wartym zauważenia i docenienia. Faktem jest, że polscy plastycy na przestrzeni pięćdziesięciu lat wnieśli znaczny wkład w rozwój wszystkich dziedzin sztuki kanadyjskiej, jednak brak jest opracowań ich dokonań w źródłach kanadyjskich, podobnie jak nie ma śladu w polskiej historii sztuki powojennej.

W mojej pracy starałam się przeanalizować, na ile rzeczywistość polityczno-społeczna Kanady pozwoliła rozwinąć się polskim talentom na emigracji, jak ewoluowali artyści i ich twórczość pod wpływem nowych doświadczeń: bodźców kulturowych, oderwania od środowiska i znalezienia się w nowej konfiguracji życiowej. Szukałam odpowiedzi na pytanie czy istnieją jakieś reguły, które pozwalają osiągnąć sukces artystyczny w Kanadzie i co rozumie się pod określeniem „sukces artystyczny”. Podjęłam zasadę „odnotowuję, a nie wartościuję”. Nie poddaję ocenie dorobku naszych plastyków, gdyż celem moim było stworzenie kompendium zawierającego jak najwięcej wiadomości, by przedstawić je jako brakujące ogniwo powojennej historii plastyki polskiej stworzonej poza granicami kraju.

W Kanadzie rola artysty i sztuki rozumiana była od zawsze utylitarnie. Państwo kanadyjskie nigdy nie spełniało roli

mecenasa, zostawiając artystę własnej zaradności i pomysłowości, nie tylko w kwestii tworzenia, ale i zbytu dzieł. Ten swoisty brak wsparcia powodował, że artyści zmuszeni byli siłować się z codziennością i jednocześnie walczyć o ocalenie i rozwój talentu. Dwa konteksty – kanadyjski i polski stanowiły ważne źródła odniesienia dla artysty emigranta.

„Emigracja nie istnieje ani zamiast, ani poza polską całością narodową jako chora jej część. Jest organicznym komponentem całości, koniecznym dopełnieniem, które inaczej modeluje Polaków portret własny” – napisała profesor Alina Witkowska. I tak też należałoby traktować twórczość polskich artystów działających w Kanadzie – jako dopełnienie polskiego dziedzictwa narodowego, które trzeba zbadać i przyswoić. Wierzę, że zebrany przeze mnie materiał dołączy do studiów i publikacji już wydanych, poszerzając pole wiedzy na temat polskiego dziedzictwa kulturowego powstałego poza granicami kraju.



KATARZYNA SZRODT - doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek Polskiego Instytutu Badań nad Sztuką Świata. Od 1992 roku na emigracji w Kanadzie, mieszka w Montrealu. Animatorka kultury polskiej na emigracji. W latach 2005-2010 kuratorka Muzeum Wychodźstwa Polskiego im. Ignacego Jana Paderewskiego w Łazienkach Królewskich. Wieloletnia felietonistka „Biuletynu Polonijnego” i „Culture Avenue- Polska kultura poza granicą”. Dla Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą <POLONIKA> przygotowuje kanadyjską część Słownika Polskich Artystów Plastyków Działających na Obczyźnie w XX wieku.

Książka dr Katarzyny Szrodt, **POLSCY ARTYŚCI PLASTYCY W KANADZIE**, jest bardzo ważnym osiągnięciem naukowym w procesie odzyskiwania dla kultury polskiej XX wieku, dorobku polskich artystów plastyków, tworzących poza Polską po wybuchu drugiej wojny światowej. Swoim opracowaniem Katarzyna Szrodt dołączyła do wąskiego grona polskich badaczy, którzy z dużym wysiłkiem i determinacją od 30 lat prowadzą badania nad polską sztuką na emigracji po 1939 roku, uzupełniając w ten sposób poważną lukę w rozpoznaniu i wartościowaniu polskiej (a nie jedynie powstałej w granicach powojennego PRL-u) XX-wiecznej polskiej kultury artystycznej i jej wkładu w dziedzictwo kulturowe świata. Na bazie historycznych odniesień do dziejów kształtowania się społeczeństwa kanadyjskiego, autorka przekonuje czytelnika o roli, jaką w kształtowaniu kultury artystycznej Kanady odgrywała i odgrywa polska diaspora, współtworząca obraz wieloetnicznego społeczeństwa, złożonego z różnych systemów wartości i norm natury społecznej, politycznej, religijnej i kulturowej.

prof. zw. dr hab. Jan Wiktor Sienkiewicz, historyk sztuki
kierownik

Katedry Historii Sztuki XX w. w Europie Środkowej i na Emigracji
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Członek Rady Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za
Granicą <POLONIKA>



KATARZYNA SZRODT - POLSCY ARTYŚCI PLASTYCY W KANADZIE



KATARZYNA SZRODT



POLSCY
ARTYŚCI PLASTYCY
w KANADZIE



Trzy wspomnienia o Miłoszu



Czesław Miłosz podczas spotkania w Toronto, fot. Marek Śmieja
Florian Śmieja

(Mississauga, Kanada)

Dramatyczny krok Miłosza, by zerwać z PRL-em i pozostać na Zachodzie zbulwersował świat. Podzielił też emigrację polską. Toteż w roku 1957, kiedy grupa młodych pisarzy skupionych wokół miesięcznika „Merkuriusz Polski” w Londynie, zaprosiła poetę do siebie, emigracyjna starszyczyna wrogo doń ustosunkowana, oczekiwała jego przyjazdu jedynie w postaci petenta do Canossy. Lecz my, bardziej tolerancyjni czy naiwni, a przede wszystkim, bez osobistych porachunków, chcieliśmy go przywitać na wieczorze autorskim, a korzystając z dostępnego

nam na imprezy kulturalne gmachu Instytutu gen. Władysława Sikorskiego, urządziliśmy wieczór w efektownej Sali Sztandarowej z przechowywaną tam flagą, która powiewała nad klasztorem na Monte Cassino i spoczywającym w gablotce mundurem Władysława Sikorskiego.

To wystawne przyjęcie nie spodobało się krytykom Miłosza z Zygmuntem Nowakowskim na czele. Swoje wielkie niezadowolenie wnet wyraził w felietonie w „Dzienniku Polskim” (*przyp. 1*) wołając by ten lokal, w którym wystąpił gość, wykadzić. Zaprotestowaliśmy jako organizatorzy spotkania i wzięliśmy w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym „Merkuriusza Polskiego” napisałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej:

Uważamy, że pan Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie... Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:

„Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogradu” (przyp 2).

Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego (przyp.3).

Tę swoją wypowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „Dziennik Polski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

Odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w Instytucie im. gen Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu” (przyp.4).

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Miłosz nie zraził się dezaprobatą „nieprzejednanych” emigrantów. Siedem lat później, 26 czerwca 1963, w tej samej Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie pojawił się ponownie pod naszą egidą. Zaprosiłem go już jako profesora dostojnego uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, tym razem jako redaktor naczelny miesięcznika o zmienionym tytule „Kontynenty” (*przyp. 5*). To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”. Tekst był wydrukowany następnie w „Kontynentach” we wrześniu 1963 (*przyp. 6*), a niektóre tezy nas frapowały. Gość powiedział nam m.in.

Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym.

A także:

Szczegół kraju, w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej, zasadniczej stawki (*przyp. 7*).

Przywitałem wtedy admirowanego gościa słowami, które się dziwnym trafem zachowały na pożółkłej kartce, a które z uwagi na autentyczność przytoczę.

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego gościa, jakieś sześć czy siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylną, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w naszym piśmie kilka miesięcy temu, w której nie szczędzi nam zresztą uwag krytycznych (*przyp. 8*). Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprowadzić o to, że tytuł pisma przywłaszczyliśmy sobie bezprawnie z jego książki. Ale to jest jego prywatna wersja. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma — a taki epitet wyczytałem właśnie w „Dzienniku Polskim”, naszej londyńskiej wyroczni — na cześć „Kontynentów”. To że Miłosz uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru naszego miesięcznika, świadczy o jego znakomitej

intuicji poetyckiej. W jego korespondencji wreszcie znajdujemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyślał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na słowiańskim dumaniu... A Miłosz, zaiste, zasługuje z wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi — i zapewne nie bez racji — o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych, Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski a także na język angielski,

otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby „in nuce” charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały. Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego Gościa „Król Popiel” (przyp. 9) z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest

on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej. Można by już cytować poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

„Nad jego grobem Mozarta zagrali
Bo nic nie mieli co by ich dzielił
Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dali
A pod za dużym niebem za cicho im było.”

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

„Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
I babim latem unosił się długo,
Niknąc nad głową, w tej pustce którądy
Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.” (przyp.10)

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in. „Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata”... Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

W Kanadzie na jesieni 1980 roku zorganizowano naukową dyskusję na temat polskości pojmowanej w Ameryce Północnej tj. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie (*przyp 11*). Zaproszono do niej również Miłosza. Z euforią organizatorzy stwierdzili, że Toronto wydało się Miłoszowi atrakcyjne i chętnie przyjął zaproszenie. A tu nagle gruchnęła na cały świat wiadomość, że w tym roku Nagroda Nobla z literatury przypadła mieszkającemu w Stanach Zjednoczonych imigrantowi z Polski, Czesławowi Miłoszowi. Wtajemniczeni członkowie panelu, w skład których wchodził Bogdan Czaykowski z Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii i ja, z University of Western Ontario w London, przyklasnęliśmy sensacyjnej wiadomości. Ale jednocześnie pojawiły się obawy i wątpliwości, czy w nowej sytuacji zaproszony do nas poeta się zjawi na dyskusji zorganizowanej przez mało znaną organizację w Toronto. A jednak Miłosz zdecydował się przylecieć, bo oprócz wystąpienia pod polską egidą, miał zaproszenie kanadyjskie do wystąpienia w ramach odczytów na Harbour Front. Od 1974 roku organizacja Autorzy w Centrum na Harbourfront odgrywa ważną rolę w kulturalnym życiu Kanady starając się pokazać Kanadyjczykom najciekawszych na świecie powieściopisarzy, eseistów i poetów.

W dyskusji o polskości wnet wyłonił się mizerny obraz amerykańskiej Polonii, zasiedziałej wprawdzie i licznej, ale

kulturalnie wydziedziczonej, w pewnym sensie bezdomnej. Mało znającej i nieświadomej swego dziedzictwa i dlatego upośledzonej. Ta mała świadomość powoduje brak dumy z pochodzenia i kompleks niższości, w końcu zasklepianie się, ucieczkę w rodzinne i parafialne obchody i tradycje, kontentowanie się prymitywnymi tańcami i ludową muzyką, co odstręcza młodych ludzi.

Miłosz nieswojo się poczuł w takiej atmosferze, wychowany w wyższej kulturze Polski i obracający się w Stanach Zjednoczonych w kręgach akademickich. Aczkolwiek zapewniał, że nie chodzi mu o deprecjonowanie wartości obecnych tak samo u ludzi mniej wykształconych, ale o zasadnicze trudności z pokonaniem dystansu między nimi. Jak może pomóc? Jak sprawi, by go rozumiano, rozumiano jego poezję i pisarstwo? Może okazał się praktyczniejszy pisząc historię literatury, bo dał ludziom poznać wartości ich dziedzictwa?

Uznał więc wraz z innymi naglącą potrzebę, by feralne milczenie polskiej diaspory, tragiczne doświadczenie pokoleń na emigracji artystycznie wyrazić, wyartykułować, uwydatnić niewiarygodny świat cierpienia i ofiarności. Zerwać z dotychczasowym milczeniem. Nie tylko tłumaczyć, że znaleźli oni ucieczkę i pociechę w drobnych rodzinnych nawykach i przywiązaniach.



Czesław Miłosz (w środku) wraz z Florianem Śmieją i Zofią Poniatowską-Śmieją, fot. Marek Śmieja

Następnego dnia w Trinity College czytał nam przekłady Pisma św. na język polski. Była też okazja do zrobienia pamiątkowych fotografii. Skorzystał z tego mój syn, Marek, któremu udało się zrobić kilka zdjęć poety a także sfotografować moją żonę i mnie z Miłoszem. (Ta fotografia narobiła dużo wesołości później w Polsce. Moja bratanica chodziła do szkoły powszechnej w podmiejskim Zabrze. Na lekcjach polskiego nauczycielka z wielkim przejęciem opowiadała o znakomitym poecie Miłoszu. Widząc jakieś rozluźnienie zachowania mojej bratanicy spytała ją, czy dobrze zapamiętała nazwisko wielkiego poety? Na to ona odpowiedziała, że owszem i że jej stryj ma z nim fotografię.

Pyszenie niosła zdumionej nauczycielce następnego dnia fotografię z Toronto).

Na Harbourfront liczne audytorium kanadyjskie entuzjastycznie witało nie tylko wybornego poetę i pisarza, ale także świeżo upieczoną Noblistę.

ARCHIWUM EMIGRACJI

Studia - Szkice - Dokumenty

Toruń, Rok 2011, Zeszyt 1-2 (14-15)

Przypisy: [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji „Archiwum Emigracji”]

1. Z. Nowakowski, *Miłosz pod sztandarami*, *Dziennik Polski* 3.10.1957, s. 2.
2. Cz. Miłosz, *Na śmierć Tadeusza Borowskiego z tomu Światło dzienne* (Paryż 1953).
3. F. Śmieja, *Głos organizatorów wieczoru w Instytucie*, *Dziennik Polski*, 14.10.1957, s. 2.
4. *Merkuriusz Polski – Życie Akademickie*, 1957 nr 10/11(90/91), s. 22.
5. Pierwszy numer „Kontynentów” ukazał się w styczniu 1959 r.
6. Cz. Miłosz, *Pozycje*, *Kontynenty* 1963 nr 57, s. 1.
7. *Tamże*.
8. Cz. Miłosz, *Kilka żądań*, *Kontynenty* 1962 nr 45, s. 1-3.

9. Cz. Miłosz, *Po ziemi naszej*, [w:] *tegoż, Król Popiel i inne wiersze*, Paryż 1962.

10. *Tamże*, s. 52.

11. Międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Polacy w Północnej Ameryce” odbyła się w dniach 23–25 października 1980 r. na University of Toronto; zob.: *Kronika kanadyjska, Kultura* 1980 nr 11(389), s. 139.

Magazyn „Culture Avenue” powstał dla prof. Floriana Śmieji z Kanady. Profesor, wybitny tłumacz i iberysta, doktor honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, nagrodzony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej przez króla Hiszpanii Filipa VI, a także pisarz i nestor poetów emigracyjnych – był moim mentorem, redaktorem i przyjacielem. Rok temu, 4 września odszedł, nie powstaną więc już ciekawe teksty o pisarzach i kulturze polskiej na emigracji. Wtorki były dniem profesora, wtedy ukazywały się jego artykuły, lub wiersze. Napisał kiedyś wiersz:

CO NA PORTALU?

*Ciekawi mnie, co dziś na komputerze
znajdę, bo wtorek jest zazwyczaj moim
dniem na portalu od kilku sezonów.*

*Dzisiaj jest Rawicz, polski ojciec fake news
który przed laty nabrał czytelników
całego świata jeszcze przed Donaldem
dołączył do bazarzy orientalnych
autorów tysiąca i jednej nocy.
Plótł banialuki, ale demaskował.*

Dla artykułu „Trzy wspomnienia o Miłoszu”, opublikowanym przez „Archiwum Emigracji” w 2011 r., uzyskał zgodę na przedruk, jeszcze za swojego życia. Tak więc kochany Panie Profesorze, dziś znów jest wtorek i nic się nie zmieniło, jak zwykle Pana dzień.

Dla przypomnienia, profesor sam o sobie podczas laudacji z okazji wręczenia doktoratu honoris causa w 2015 r:

Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Tina Popko – artystka wielu talentów (2)



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak
rozmawia Łukasz Przelaskowski (Holandia)

Łukasz Przelaskowski: Kochasz poezję i piszesz piękne wiersze, ujmujące i pełne romantyzmu, głównie erotyki, genialnie budujesz formę erotycznego uniesienia, które

trzyma w napięciu, aż do końca przyprawiając o szybsze bicie serca. Czy te wiersze są o Tobie?

Tina Popko: W wierszach mówi podmiot liryczny, a nie ja, więc nie należy zakładać, że są o mnie. Oczywiście często czerpię natchnienie z życia, marzeń lub kieruję słowa do konkretnej osoby, nieraz wyidealizowanej w utworze, lecz wiele rzeczy może (nie musi) być ubarwionych. Zdarza się też, że z czasem dedykuję komuś wiersz napisany wcześniej. Trzeba jednak pamiętać, iż treść może nie mieć nic wspólnego ze mną, moim życiem, czy upodobaniami.

Czy masz w tej całej pogoni artystycznej czas na miłość, przyjaźń?

Miłość i przyjaźń są dla mnie bardzo ważne. Mam przyjaciół, z którymi znam się od wielu lat. Staram się pielęgnować te relacje, traktuję ich jak rodzinę. Większość z tych osób jest daleko, ale to nie przeszkadza w kontakcie. Nawet zapracowana osoba, której zależy na znajomości, znajdzie czas dla bliskich.

Czy tak utalentowana i piękna kobieta, a zarazem samotna, mogłaby zdradzić coś ze swojej prywatnej sfery uczuć? Jak można zdobyć serce tak wyjątkowej osoby jak Ty? Czy mogłabyś opisać Twój typ mężczyzny pod względem zarówno osobowości, jak i aparycji?

Obecnie skupiam się na swoim rozwoju, co nie znaczy, że nie miałabym czasu na miłość, ale wierzę, że sama przyjdzie, więc nie szukam na siłę. Ważne jest, abym była przede wszystkim szczęśliwa sama ze sobą i tak jest. Jeżeli chodzi o osobowość, to mężczyzna powinien być inteligentny, zaradny, romantyczny, empatyczny, opiekuńczy, spontaniczny i choć trochę szalony. Nie musi być artystą, ale powinien podziwiać i cenić sztukę. Ważne jest, by umiał okazywać i pielęgnować uczucie, miał jakąś pasję, poczucie humoru, lubił i umiał słuchać, doceniał mnie i oczywiście świata poza mną nie widział (śmiech). No cóż... chcę być tą jedyną, miłością czyjegoś życia – i z wzajemnością. Aparycja ma drugorzędne znaczenie, ale skoro już pytasz, to dobrze, gdyby mężczyzna był wysoki i wysportowany.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Obecnie zamieszczasz twórczość poetycką na swojej stronie na Facebooku, a także stronie internetowej. Masz jakieś większe plany związane z Twoimi wierszami?

Oczywiście. Planuję je wydać, a także nagrać w formie poezji śpiewanej.

Jakich poetów oraz wykonawców poezji śpiewanej lubisz?

Moim ulubionym wykonawcą poezji śpiewanej jest śp. Marek Grechuta. Z poetów lubię m.in. Leśmiana, Balińskiego, Cummings'a, Baudelaire'a, Szymborską, Poświatowską, Przerwę

- Tetmajera, Asnyka, Borowskiego, Staffa, Wierzyńskiego, Mickiewicza, Tuwima, Langego.

Jaka jest Twoja ulubiona książka?

„Rozmowy z Bogiem” Walsch’a. Uważam, że każdy powinien przeczytać tę książkę i żyć zgodnie z prawdami w niej zawartymi, a będzie spokojny i szczęśliwy. Faktem jest, iż mamy ogromny wpływ na swoje życie. To my decydujemy, kim jesteśmy i mamy prawo do wielu wyborów. Możemy osiągnąć wszystko – wystarczy być tego świadomym, pracować nad swoimi myślami, które są energią i przemieniają się w materię, czyli zdarzenia. To jest siła przyciągania. Są dwa źródła wszystkich uczuć – miłość i strach. Należy całkowicie porzucić to drugie. Problemy i cierpienie to... iluzja. Jesteśmy na tym świecie po to, aby na własne życzenie doświadczać, poznawać dobro przez istnienie zła i przypomnieć sobie, że jesteśmy boską częścią. Tyle w skrócie.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Jesteś człowiekiem renesansu. Masz wiele pasji i zainteresowań, związanych nie tylko ze sztuką, ale także z ezoteryką, magią, astrologią, parapsychologią, reinkarnacją, religiami, sztukami walki, sportem, filozofią itd. Jakie wartości urzekają Cię w filozofii?

Wiele tematów mnie fascynuje, np. filozofia słowa i fakt, iż idea wszystkich rzeczy tkwi w ich nazwie, czyli w słowie. Inną kwestią, którą poruszę, jest to, że każdy wybiera jeden z dwóch

głównych sposobów egzystencji – oparty na posiadaniu lub byciu. Jestem przedstawicielką tego drugiego sposobu i uważam, iż może dać on więcej szczęścia, a odczuwanie tego zależy od jednostki, a więc jest subiektywne (ludzie nie są sobie równi, istnieją nadludzie, jak twierdził F. Nietzsche). Pochłaniające są też rozważania nad tematem miłości, np. jej stadia według S. Kierkegaarda. Osobiście, uznaję to uczucie za najwyższą wartość, najpiękniejsze ludzkie doznanie i sens życia. Według mnie, prawdziwa miłość jest jedyna, nieskończona i niełatwa do znalezienia w dzisiejszym świecie pełnym wątpliwych „wartości”. Według Lacana chodzi w niej o przekroczenie narcyzmu i próbę dotknięcia „bytu drugiego”. Moje życie wewnętrzne jest bogate, uznaję więc, że istnienie konkretnych jednostek może być wartościowe i magiczne, jednak życie człowieka, a jego wartość w odbiorze ogółu to dwie odmienne kwestie. Nie uniknę też rozmyślań na temat mizantropii, sensu wszystkiego, poglądów Schopenhauera i wielu innych.

Tina Popko w programie telewizyjnym „Must be the music”



Wystąpiłaś w programach takich jak „Must be the music” i „Szansa na Sukces”. Wykonałaś tam fenomenalnie „Think” A. Franklin oraz „A gdyby tak” zespołu Vox. Publiczność

szalała, klaskała i wiwatowała na stojąco, jury zaniemówiło. Czy przyniosły one Tobie promocję, a z nią ciekawe propozycje współpracy? Jak sama podchodzisz do takich programów i występów?

Nie wszystkie tego rodzaju programy dopuszczają w swoim regulaminie zawodowych, profesjonalnych wokalistów, ale dobrze, że chociaż dają im szansę pokazania się, jeśli nie zwycięstwa. Stwierdziłam więc, że warto jest wystąpić, co potwierdziło się w dużej ilości otrzymanych wiadomości z gratulacjami i propozycjami współpracy. Większość takich ofert wiąże się z wyłącznością na długi okres, więc daję sobie czas na decyzję i być może na lepsze propozycje, zwłaszcza, że jeszcze napływają. Tak więc, zachęcam do kontaktu, jestem otwarta na ciekawe oferty współpracy.

Jak odnajdujesz się w czasie pandemii jako artystka?

Czas pandemii to dobry okres na dokończenie rzeczy, które były odkładane na później, na pisanie wierszy i tekstów piosenek, komponowanie, naukę nowych utworów, uaktualnienie portfolio i demo, próby wokalne, aktorskie oraz taneczne. Miałam też nagrania do kilku seriali.



Tina Popko, fot. Marcin Chyła

Na Twojej stronie można przeczytać m.in. recenzję wybitnej Pani choreograf Grażyny Mulczyk - Skarżyńskiej o Tobie jako świetnej modelce, wyróżniającej się m.in. estetyką i harmonią ruchu, pięknym poruszaniem i elegancją. Czym jest dla Ciebie modeling i fotomodeling?

Moda to jedna z moich pasji, a moje motto to: „zawsze ubieraj się tak jakbyś miał spotkać swojego najgorszego wroga”. Sesje zdjęciowe uwielbiam odkąd byłam nastolatką, wtedy też wyszłam

po raz pierwszy na wybieg, to wspaniałe uczucie. Dobra modelka powinna być pewna siebie, charakterystyczna, kreatywna, mieć swój styl i talent aktorski, by umieć wyrazić emocje. Jestem indywidualistką, a moda pomaga to podkreślić. Lubię fotografię oraz pracę jako modelka i fotomodelka, traktuję to jak sztukę. Podobnie jak na scenie – jestem wtedy w swoim żywiole, sprawia mi to frajdę, daje dużo pozytywnej energii i przenosi w ten inny, magiczny świat, oderwany od rzeczywistości, czyli mój świat (uśmiech).

Jakie masz zawodowe i prywatne marzenia oraz plany?

Chcę zawsze być szczęśliwa, mieć z kim dzielić się tym szczęściem i nadal móc robić to, co kocham, czyli grać, śpiewać, tańczyć, rozwijać pozostałe pasje, np. rysowanie, malowanie. Do tej pory często zmieniałam miejsca zamieszkania i grałam gościnnie w teatrach, a teraz jestem już gotowa pracować na etacie i osiąść w jednym miejscu. W przyszłości chcę mieć dom i konia, o którym marzę od dziecka.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Jedną z największych Twoich miłości są konie. Masz doświadczenie jeździeckie? Za co tak kochasz konie?

Pierwsza lekcja jazdy odbyła się jak miałam 9 lat i już wtedy pokochałam konie. Mam spore doświadczenie, skaczę przez przeszkody, uwielbiam jazdę w terenie. Dziadkowie mieli konia pociągowego, na którym jako pierwsza jeździłam. Kocham te zwierzęta za wszystko, są niezwykle mądre, uwielbiam spędzać z nimi czas, nie tylko na jeździe. Są przyjaciółmi człowieka i najpiękniejszymi stworzeniami na świecie. Można być z nimi naprawdę blisko. Dawałam nawet koniowi jedzenie z ust, to było cudowne uczucie, miałam ciarki na całym ciele. Pamiętam

wszystkie konie, które kochałam, są nadal w moim sercu i śnią mi się nawet po latach. Kolekcjonuję figurki, plakaty, znaczki i inne rzeczy związane z końmi.

Praca w Twoim zawodzie wymaga ogromu pozytywnej energii i wysiłku, skąd ją bierzesz i jak rozładowujesz stres?

Gdy robię to, co kocham, zawsze jestem pełna energii. Dodatkowo czerpię ją ze słuchania muzyki, tańca, sportów, spotkań z przyjaciółmi, podróży, jazdy rowerem, autem lub motorem. Planuję skok ze spadochronem, rozważam także powrót na Aikido jeśli wystarczy mi czasu. Lubię też chodzić po górach, spędzać czas w lesie i nad wodą.

Co poleciłabyś kolejnym młodym pokoleniom osób zainteresowanych pracą aktorów, wokalistów, tancerzy, muzyków czy modeli? Jak pracować nad sobą, a czego się wystrzegać?

Aby osiągnąć sukces, trzeba ciężko pracować, być w pełni zaangażowanym, zmobilizowanym, stawiać sobie jasne cele, nigdy się nie poddawać, nie przejmować się niepowodzeniami, nie porównywać z innymi, zainwestować czas i energię w swoje wykształcenie oraz skupiać się na własnym rozwoju.

Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych sukcesów, a także pomyślnej realizacji wszystkich marzeń, planów i projektów.

Dziękuję również.



Wiwiad, część 1:

Tina Popko - artystka wielu talentów (1)

Linki:

Strona Internetowa: <http://www.tinapopko.com.pl/>

Nowa strona: <http://tinapopko.pl/>

Facebook: <https://www.facebook.com/Tina-Popko-actress-singer-model-103102661290658>

Kanał

YouTube: https://www.youtube.com/channel/UC_aFPggDoqWppYNJvcaw2yQ

Instagram: <https://www.instagram.com/tina.popko/>